Świat powieściowy.

Nr. 156 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

ZAKLĘTY I ODCZAROWANY

(Ciąg dalszy.)

W rzeczy samej dnia tego od rana, panowało we wsi niezwykłe rozdrażnienie. Kobiety nawet, niczem nie zajęte, stały na progu przed chatami, głośno między sobą rozprawiając. Na środku drogi, przed domem wójta, zebrała się cała niemal ludność męzka, na walną naradę. Proboszcz musiał już był oświadczyć przedtem gromadzie, iż dziedzic tym razem winnych nie wypuści, i odda w ręce sądu karnego, bo w tłumie, wynoszącym najmniej do stu osób, odzywały się coraz głośniej złorzeczenia i groźby, miotane na: „tego tam z Felseneck!“

Rajmund objął jednym rzutem oka groźną sytuację, skoro skręcił w główną wsi ulicę, usposobienie jego atoli nie było tego rodzaju, aby unikać możliwego niebezpieczeństwa. To, czego doświadczył przed chwilą, dowiodło mu jasno i dobitnie, jak daleko sięga, i jak jest strasznym w następstwach, wpływ księdza Wilmuta. Ośmielił się, on, wyklęty, dziecię małe do łona przycisnąć, dziecię, które nie powinno by jeszcze mieć wyobrażenia, co to znaczy nienawiść, i ta nawet mała istotka odwróciła się od niego z trwogą i wstrętem najwyższym. To usunięcie się nieprzyjazne malca, który przed chwilą tulił się pod jego skrzydła opiekuńcze, było dla nieszczęśliwego ową kroplą za wiele, przepełniającą kielich goryczy!

Tłum wrzeszczący, był zrazu nadto sobą zajęty, aby zważać na Rajmunda nadjeżdżającego; był już tuż blisko, gdy dopiero któryś z chłopów krzyknął głośno:

— A ot! Widzicie tego z Felseneck!

Niby morze burzą gwałtownie wzburzone, zafalowały głowy zgromadzonych i wszyscy oczy utkwili w punkt jeden, w Rajmunda. Hałas ustał jakby na komendę, cisza jednak głucha, która teraz w okół zapanowała, przejmywała niemal jeszcze większą grozą.

Otworzyły się drzwi i wójt stanął na progu. Z nim jednocześnie ukazał się Rajner i kilku ze starszyzny, którzy widocznie nad czemś ważnem radzili. I ci drgnęli, widząc tak niespodziewanie przed sobą ordynata; wójt powiódł w około wzrokiem niespokojnym, z miną wielce zafrasowaną, Rajner zaś, jak zwykle najzuchwalszy, zawołał wyzywająco:

— Jest ptaszek... tem lepiej! Nie potrzebujemy trudzić się do domu. Możemy tutaj z nim się rozprawić!

Rajmund, ma się rozumieć, od dawna przestał galopować, i teraz zbliżał się stępo do tłumu w kłębek zbitego. Zachowanie się chłopstwa wobec niego, było aż nadto jasnem; Rajmund atoli, jakby tego bynajmniej nie uważał, rzekł sucho, tonem rozkazującym:

— Czemuście tak drogę zalegli? Rozstąpić się, żebym mógł przejechać!

Ton ostry był wprawdzie nie na czasie w chwili i tak dość groźnej, imponował jednak motłochowi odwagą szaloną, która wyzywała raczej niebezpieczeństwo, niż by miała tegoż unikać. Tłum zrozumiał widocznie całą czynu tego donosłość, gdyż odezwało się w nim głuche mruczenie, niby niedźwiedzia podrażnionego, i Rajner wysunął się naprzód, z miną zuchwałą usta otwierając, gdy w tem wójt najspokojniejszy i najoględniejszy z nich wszystkich, usunął go na bok i sam przemówił:

— Wybieraliśmy się właśnie na zamek, do jaśnie pana.

— Po co? — Rajmund powiódł po zbitym w kłębek tłumie wzrokiem zimnym i pogardliwym. Droga była w rzeczy samej zabarykadowana przez całą jej szerokość, a chłop·two cisnęło się koło jeźdźca i konia, tak, że nie mógł Rajmund ani się cofnąć, ani naprzód postąpić.

— No!... z tem, co się dziś w nocy przydarzyło... Ksiądz proboszcz wspominał, że jaśnie pan chce wszystkich połapanych oddać do kryminału...

— Tak jest, powiedziałem, że dłużej tego znosić nie będę, i potrafię ukrócić dziką swawolę psotników.

— Ale my do tego dopuścić nie możemy! — odezwał się teraz Rajner rezolutnie. — I mój chłopiec jest między nimi, a ja nie zniosę, żeby go do kryminału zamykano!

— To rzecz sądu, i z sędzią śledczym mówić o tej sprawie będziecie — Rajmund odrzucił lodowato. — A teraz, precz z drogi!

Rozkaz brzmiał tak energicznie, iż chłopi przerażeni zaczęli na bok się usuwać. Terroryzm działa zawsze na lud ciemny, szczególnie tutaj, gdzie go się wcale nie spodziewano. Strach mimowolny nie trwał jednak długo.

— Oho! Myślisz się z nami tak obchodzić, jak twój nieboszczyk ojciec! — krzyknął Rajner z śmiechem

szyderczym. — Czasy zmieniły się bratku, a z tobą mamy specjalnie, rachunek z dawien dawna!

Te słowa zdawały się być iskrą w proch ciśniętą. Chłopstwo rozjuszone granic żadnych więcej nie znało. Szemranie przytłumione zrazu, zmieniło się w głośne krzyki, w dzikie złorzeczenia, w zarzuty najniedorzeczniejsze co do czarów, uroków i guseł rozmaitych, o które motłoch rozbestwiony pomawiał ordynata. Dotąd znieważano Rajmunda słowami, za chwilę mogła tłuszcza przejść do czynnej zniewagi. Wójt jeden, który zachował krew zimną i zastanowienie, wstrzymywał ile mógł tłum rozszalały, Rajner atoli wepchnął go bez ceremonji napowrót do domu i drzwi na klucz za nim zamknął.

Rajmund siedział niewzruszony, jakby wrósł w konia, nie próbując nawet perswazji, nie wymówiwszy ani słowa, któreby tłum mogło uspokoić. Patrzał tak zimno, tak wyniośle na ten hałas cały, słuchał gróźb i złorzeczeń z taką obojętnością, jakby tyczyły się zupełnie kogo innego. Rysy jego na nowo skamieniały, wyrażając ów spokój śmierci za życia. Spróbował zbliżyć się do ludzi, do świata... i tak mu się próba powiodła! Tylko w wzroku jego płonącym ogniem ponurym, czytało się głęboką, nieograniczoną pogardę, dla tego dzikiego motłochu, do którego mało sto razy wyciągał rękę dobroczynną, chciał krocie poświęcić, aby wieś ratować od zagłady, gdyby trafem nieszczęsnym powódź nadeszła... a obecnie zbierał owoce swojej niezrównanej ofiarności!

— Oddaj mi syna! — krzyknął Rajner cały zapieniony. — Uwolń wszystkich! Inaczej nie głupiśmy puścić cię wolno!

— Tak! tak! muszą być wszyscy wolni! — ryczał tłum rozszalały, kołem coraz ciaśniejszem jeźdźca i konia opasując.

Jeszcze żaden nie ośmielił się dotknąć osoby Rajmunda. Wyskoczył wreszcie z tłumu wyrostek, dając hasło do czynnej napaści. Ręką zuchwałą próbował wyrwać cugle Rajmundowi.

— Precz od konia! — zawołał ordynat głosem przez gniew stłumionym. — Precz... albo...

Chłopiec nie odstąpił Z miną wyzywającą wspiął się na palce, i szarpnął Rajmunda za wierzchnie odzienie, aby jego samego z konia ściągnąć.

Rajmund drgnął pod dotknięciem pięści chłopa brutalnej. Twarz przed chwilą blada śmiertelnie, spłonęła purpurą; uniósł się na siodle wysoko, szpicrut świsnął w powietrzu, a zuchwalec z krwawą szramą przez czoło i twarz, w tył się zatoczył z jękiem bolesnym.

Motłoch rozszalały, z okrzykiem zgrozy, byłby się może rzucił na barona, ale ten ruchem szybkim jak błyskawica, wydobył z zanadrza rewolwer doskonały, z którym również nigdy się od pewnego czasu nie rozłączał, i krzyknął głosem piorunującym:

— Precz! precz mówię! Kto raz jeszcze dotknąć się mnie ośmieli, strzelę mu w łeb jak psu!

Chłopstwo natychmiast ustąpiło; nawet Rajnerowi wzniesiona ręka opadła bezwładnie. Było ich stu przeciw jednemu, dawna jednak tradycja karności i grozy, jeszcze ten raz zwyciężyła, paraliżując ich wściekłe zapędy.

Nie widzieli dotąd podobieństwa w synie, tak zupełnie odmiennego od nieboszczyka usposobienia. W tej chwili jednak, stanął im stary baron przed oczyma, jakby wyszedł żywy z ram portretu, lub co gorsza, uwolnił się z pysznego marmurowego sarkofagu, który krył w kaplicy zamkowej zimne jego popioły.

Wielu z nich znało się doskonale z tym tonem groźnym tyrana i władcy nieubłaganego, wielu pamiętało ów wzrok dziko płonący, i ogarniał ich strach zabobonny w obec tej groźby, iż baron każdego jak psa zastrzeli.

Przecież to było rzeczą udowodnioną, iż: „ten z Felseneck“ jest nietykalnym! Kto wie, czyby nie potrafił, jedną kulą ognistą zmieść ich wszystkich od razu, a potem uleciał by w powietrze na swoim rumaku i nie oparł by się, aż w swoim zamku zaczarowanym i strzeżonym z bliska przez straszliwą Dziewicę z lodu!.. Na sztuczki djabelskie niema ratunku! niema przeciw nim obrony! Zabobon, który tak długo życie zatruwał Rajmundowi, teraz miał go zasłonić przed grożącem niebezpieczeństwem.

Krzyk ustał, tłum zaczynał się przerzedzać i wkrótce mógł by Rajmund spokojnie przejechać.

Spostrzegł to Rajner, i w niemej wściekłości zgrzytnął zębami, a gdy jeździec, który dotąd z całej siły konia wstrzymywał, zwolnił wreszcie cugli i zwierzę niecierpliwie parskające i żujące wędzidło, miało się puścić galopem, chłop nożem błysnął, śmiejąc się z szyderstwem zjadliwem.

— Jeżeli pan nietykalny, może przynajmniej konia nie zaczarował! — krzyknął, topiąc nóż w piersi Emira, po samą rękojeść.

Skok straszliwy, rozpaczliwy, biednego zwierzęcia, śmiertelnie zranionego, rozpędził tłum na wsze strony, podczas gdy Rajmund, który nie widział dobrze co się stało, próbował nadaremnie konia ręką i słowem uspokoić. Emir chciał skoczyć po raz drugi, siły go jednak zawiodły, wywinął przedniemi nogami w powietrzu, zarżał tonem żałośnym, a za chwilę koń i jeździec, leżeli na ziemi bez znaku życia.

Wszystko trwało zaledwie chwilę przelotną. Koń charczał i drgał konwulsyjnie, a o krok dalej, na stosie kamieni, leżał z oczyma zamkniętemi Rajmund, z czołem rozciętem, z którego krew sączyła się powoli, wzdłuż twarzy bladej śmiertelnie. W tłumie, przed chwilą zemstą dyszącym, głucha cisza zaległa. Patrzyli z trwogą to jeden na drugiego, to na konia i jeźdźca skrwawionego. Przekonali się wreszcie, iż czarownik z Felseneck mógł być rannym, jak i każdy inny śmiertelnik, zdawało się atoli, iż to spóźnione przekonanie ordynat życiem przepłaci.

Zaturkotało na drodze ze strony przeciwnej. To

Paweł powracał, a widząc niezwykłe zbiegowisko, nakazał stanąć, i wyskoczył z powozu.

— Co to jest? Co się stało? — zawołał strwożony, bliżej przystępując.

Nikt się zrazu nie odezwał, tylko każdy instynktowo cofał się w ten sposób, żeby ile możności zakryć straszny widok przed okiem Pawła. Wójt wreszcie zdecydował się i wybąknął nieśmiało:

— Stało się wielkie nieszczęście... jaśnie pan... spadł z konia...

— Tu, na środku gościńca?! — krzyknął Paweł, torując sobie drogę gwałtownie, przez tłum zwarty. Jednym rzutem oka objął całą rozpaczliwą sytuację, i przypadł na kolana obok stryja, szukając w nim życia iskierki.

I znowu tłum się rozstąpił, tym razem dobrowolnie, aby przepuścić proboszcza, który wreszcie słysząc wrzask tłumu niesforny, uznał za stosowne wmięszać się w tę sprawę.

— Co tu zaszło? — spytał. — Wypadek?

— Nie wypadek, tylko mord! — odrzucił Paweł z goryczą, ręką na konia wskazując. — Zwykle ksiądz proboszcz zjawiasz się pierwszy na placu, skoro zdarzy się coś niezwykłego w Werdenfels, tym razem, ma się rozumieć, przyszedłeś za późno!

XXI.

Nazajutrz, o bardzo wczesnej godzinie, Wilmut wchodził furtką do ogrodu w Rosenberg. Zdążając szybko ku pałacykowi, spostrzegł stangreta i starego Ignacego, zaprzęgających konie do powozu z niezwykłym pospiechem. Ksiądz stanął pytając:

— Czy pani gdzie wyjeżdża?

— Tak jest — stary ogrodnik zdjął czapkę z uszanowaniem — kazała, żebyśmy obaj duchem zaprzęgli.

— Tak wcześnie? I dokąd?

— Tego nie wiemy... tylko mamy się spieszyć, jak tylko można.

Wilmut nic już nie odpowiedział, tylko krokiem jak do szturmu, przebiegł w lot dziedziniec i wpadł bez tchu do saloniku.

Anna w płaszczu i kapeluszu, sama jedna przechadzała się wszersz i wzdłuż pokoju, z niepokojem nerwowym mnąc w ręce kurczowo zaciśniętej bilet, który widocznie świeżo otrzymała. Na policzkach świeciły dwie plamy czerwone, gorączkowe, w oczach był również blask nienaturalny, całe jej zachowanie i postawa zdradzały trwogę śmiertelną, a od czasu do czasu rzucała wzrokiem błędnym na kilka wierszów, na prędce skreślonych i przysłanych.

Wstrzymała się na chwilę, ujrzawszy Wilmuta na progu, ani jednem słowem jednak nie przywitała wchodzącego tak niespodzianie kuzyna; stanęła naprzeciw z czołem zmarszczonem, z ustami blademi i drgającemi, jakby wroga miała przed sobą, i niema czekała na iego przemówienie. Jerzy wszystko od razu zrozumiał; list w Anny ręku, był mu nitką przewodnią w tym labiryncie.

— Wybrałem się umyślnie o tak rannej godzinie — zaczął — chcąc przeszkodzić wieściom fałszywym i przesadzonym, które by mogły dojść do ciebie z Werdenfels. Zdaje się jednak, iż wiesz o wszystkiem.

— Właśnie otrzymałam wiadomość straszliwą. Paweł doniósł swojej narzeczonej o nieszczęściu, a ona mnie ją udzieliła.

Narzeczonej! Odbyły się więc zaręczyny, mimo niechęci i nieprzyzwolenia opiekuna! W innym czasie, byłby Wilmut upomniał się ostro i surowo, jak mogli tak ignorować jego powagę, i na własną rękę odbyć akt ważny zaręczyn, dziś atoli wcale na to nie zwrócił uwagi. Co go w tej chwili Lily obchodziła, a choćby nawet ubliżenie jego godności! Wzrokiem niespokojnym pożerał młodą kobietę, jakby chciał przeniknąć myśli jej najtajniejsze, i wrażenie, jakie na nią wieść ta wywarła.

— Wiesz już zapewne, iż rana ordynata nie jest śmiertelną — mówił dalej. — Lekarz nie ukrywa niebezpieczeństwa, ma jednak wszelką nadzieję wyleczyć chorego. Sam z nim mówiłem, gdy wracał z zamku; chciałem mieć pewność, co do skutków tego wypadku fatalnego.

— Tej zbrodni, chciałeś zapewne powiedzieć! Wszak konia nożem pchnięto i tym sposobem tylko mógł spaść taki jak Rajmund jeździec doskonały.

— A któż mu kazał wyzywać niebezpieczeństwo?! Ostrzegałem go przecież! Było to istnem szaleństwem jechać samemu konno na przechadzkę, w sam środek tłumu rozjuszonego, któremu odmawiał stanowczo wypuszczenia uwięzionych. Na nieszczęście i bratanka nie było przy nim, który zwykł mu wszędzie towarzyszeć. Musiał zapewne zatrzymać się dłużej w Rosenberg, gdyż zjawił się dopiero po spełnionej katastrofie.

— A ty Jerzy gdzie byłeś? — spytała Anna głucho, stając przed nim w groźnej postawie.

— Ja?! Czyż jestem stróżem pana na Werdenfelsie?!

— Odpowiedź Kaina! Wszak dawniej tem się szczyciłeś, w tem całą dumę twoją pokładałeś, żeby strzedz trzody twojej pieczy powierzonej, żeby wpływać jako rozjemca, jako duch zgody i pokoju, przy każdej kłótni, przy każdej sprzeczce choćby najmniej znaczącej, a tu, gdzie chodziło o śmierć lub życie, siedziałeś najspokojniej u siebie na probostwie. Naturalnie! Tutaj szło o Rajmunda, jemu jednemu nie chciałeś przyjść w pomoc! Boże! Boże miłosierny! może i ja przybędę za późno!

— Ty?! — rzucił się Wilmut gwałtownie. — A gdzie ty się wybierasz?

— Do Werdenfels!... do Rajmunda!

— Domyślałem się czegoś podobnego! Korzystał natychmiast z wypadku, aby cię ściągnąć do boku swojego!

Młoda kobieta głowę na piersi opuściła, jakby w poczuciu wielkiej swojej winy.

— Nie! Rajmund nie wezwał by mnie, choćby śmierć widział przed oczami. Dotknęłam go nadto boleśnie, odtrącając od siebie niedawno... nie potrzebywał zresztą żądać tego... idę do niego z własnej woli.

Przystąpiła do okna, a widząc, iż guzdracze jeszcze dotąd nie zaprzęgli, w niecierpliwości ręce kurczowo załamała. Ani zważała na Wilmuta, który szedł za nią i również oparł się o poręcz okna.

— Lękałem się z twojej strony tego kroku szalonego i przyszedłem umyślnie, aby ci przeszkodzić w zamiarze niedorzecznym — przemówił jak zawsze tonem ostrym i rozkazującym. — Tracisz zupełnie przytomność, skoro idzie o tego człowieka! Muszę przywieść cię do opamiętania, i nie pozwolę...

— Nie trudź się daremnie! — Anna gwałtownie wybuchnęła. — Czy sądzisz, iż cokolwiek i ktokolwiek, zdołał by mnię zatrzymać, skoro wiem, że Rajmund cierpi, że jest może umierającym?! Niebezpieczeństwo, w jakiem się znajduje, ostrzegło moje sumienie, wyznaczyło mi miejsce, na którem od dawna stać bym powinna! Na nic zważać nie myślę!

— Nawet na twoją dobrą sławę?! W oczach świata całego ordynat jest ci obcym zupełnie. Jakiem prawem chcesz go pielęgnować?

— Prawem narzeczonej... przyszłej małżonki! Byłam Rajmunda narzeczoną i jestem nią obecnie!

— Szaleństwo! wierutne szaleństwo! Sama zrzekłaś się praw narzeczonej, innego zaślubiając, a baron żył latami zdala od ciebie!

— Myślisz może, że przez wszystkie te długie lata, bodaj na chwilę o mnie zapomniał? — odrzuciła Anna głosem drżącym.

— Prawda, zerwałam z nim sama, przez ciebie przymuszana i naglona! Miałam wtedy niespełna lat ośmnaście, wychowana w twojej szkole, przesiąknięta twojemi wyobrażeniami, twoją surowością nieubłaganą, która nie zna dla żadnej winy przebaczenia, tylko potępienie bezwzględne, bezlitośne! Powinnam była wysłuchać wtedy Rajmunda, gdy błagał o to, jak o łaskę i wysłuchać sam na sam! Słusznie dziś jeszcze utrzymuje, iż w obec ciebie, pod twojem okiem zimnem, krew w żyłach ścinającem, porozumienie było nie możliwem! Zawiniłam! srodze wtedy względem Rajmunda zawiniłam!

— Czy się jednak bronił, gdyś go pytała? — Wilmut cedził każde słowo z naciskiem. — Czy zarzucił mi kłamstwo i nazwał oszczercą, gdym go przed tobą oskarżał? A jednak wiedział, iż skoro nie będzie mógł zaprzeczyć, musi nastąpić zerwanie między wami. Cóż byłabyś innego osiągnęła w cztery oczy? Również tylko przyznanie się do winy!

— W takim razie, powinnam była przebaczyć, a nie potępiać, powinnam była podzielić z nim los choćby najgorszy! Coś ty mi wystawiał jako święty obowiązek, jako siłę charakteru, było właśnie nikczemną, podłą słabością, w obec człowieka, któremu miłość dozgonną przysięgłam! Lękałam się skandalu, drżałam o moje własne zbawienie przy jego boku, kiedy myśl moją powinno by było zająć wyłącznie jego dobro, jego szczęście! Grubą tę z mojej strony pomyłkę odpokutowaliśmy oboje latami tęsknoty i żalu rozpaczliwego, nakoniec przyszła chwila, w której w mojej duszy jasno się zrobiło! Nie pytam więcej co Rajmund mógł popełnić i nie wzdragam się przed niczem! Niech go świat cały potępi i odtrąci, niech cień smutku, który mu życie zatruwa, i na moją przyszłą dolę czarną chmurę rzuci... Podzielę z nim winę, podzielę potępienie!

Słowa te brzmiały tryumfująco, namiętnie. Był to okrzyk radości, istoty po latach długich oddychającej całą piersią, po uwolnieniu się z więzów, wolę jej krępujących. Wilmut odczuł to, zrozumiał, a jednak próbował jeszcze przeciw temu zaprotestować.

— Nie wykonasz zamiaru szalonego! — szeptał głosem stłumionym wzruszeniem i oburzeniem. — Tego nie zniosę! nigdy na to nie pozwolę! Czy słyszysz Anno? Zakazuję ci i choćby gwałtem zatrzymam! Nie pojedziesz!

Rzucił się ku niej, jakby istotnie chciał ją schwycić za rękę, ona cofnęła się, a na jej bladych ustach; pojawił się uśmiech pogardliwy, z oczu zaś wlepionych w Wilmuta strzeliła gniewu błyskawica.

— Strzeż się Jerzy! Nienawiść twoja zdradza za wiele! Ostatniemi czasami przejrzałam i zajrzałam w serce twoje głębiej może, niż byłbyś sobie tego życzył! Choćbyś jak prawdzie kłam zadawał, ja ci w oczy powiem, iż dla tego tylko Rajmunda znienawidziłeś i będziesz go aż do grobu nienawidził..... że ja go nad wszystko i wszystkich... ukochałam!

Twarz Wilmuta wyglądała tak samo trupio, jak wczoraj podczas rozmowy z ordynatem, tym razem jednak nie zżymał się, nie zaprzeczał z oburzeniem, jak w obec zarzutów, czynionych mu przez Rajmunda. Wzrok błędny utkwił w młodej kobiecie i stał dalej nieruchomy, skamieniały, nie próbując więcej wstrzymywać jej od zamiaru powziętego.

Powóz nareszcie zaturkotał po dziedzińcu brukowanym i Anna ku drzwiom się zwróciła.

— Jadę do niego. Żegnam cię Jerzy. Z nami dwojgiem wszystko skończone!

Za chwilę usłyszał kół turkot, uwożących Annę do Werdenfels. Jakby kto zdjął czar z niego, Wilmut odzyskał nagle czucie i przytomność. Z głuchym jękiem twarz oburącz zasłonił, upadając na fotel najbliższy. Po raz pierwszy w życiu czuł się zupełnie złamanym, i jak dziecko płaczem gorzkim wybuchnął.

I jemu obecnie jasno, przerażająco jasno było w sercu i umyśle! Musiał wreszcie przyznać w głębi duszy, iż nadaremnie walczył, nadaremnie łudził sam siebie! Namiętność szalona opanowała go, mimo jego woli i chęci. Była to chwila zwątpienia straszliwego dla kapłana, widział przepaść u nóg swoich, grunt tracił pod stopami, on, który miał się za nieomylnego, niezłomnego, który wierzył tak święcie w czystość nie-

pokalaną swoich słów, czynów i zamiarów. Miał się za wyższego po nad poziom ludzkich błędów i ułomności, wolny od pokus wszelkich i namiętności zwykłych śmiertelników, myślał, że jest sędzią ostrym lecz bezstronnym i sprawiedliwym, aż wreszcie przekonał się, iż głównym motorem jego czynności była zazdrość namiętna, szalona, nienawiść nieubłagana mężczyzny dla mężczyzny, kiedy obaj zakochają się w jednej i tej samej kobiecie!

Sądził, iż pokonał miłość namiętną, usunął na zawsze pokusę, gdy skłonił Annę do ślubu z prezydentem, gdy własnoręcznie łączył ich dłonie przed ołtarzem, i wtrącił ją w ramiona męża, którego wybrała sobie w chwili rozpaczy dzikiej, w chwili rozstroju i zwątpienia najzupełniejszego. Okłamywał sam siebie! W głębi serca tryumfował, nie że krewnej los zapewnił przyzwoity, ale że mu się udało rozłączyć ją na zawsze (czego się wtedy spodziewał) z rywalem od niego szczęśliwszym, z człowiekiem, którego Anna ukochała!

Gdy śmierć węzły przecięła, krępujące młodą kobietę, gdy wróciła nazad w sęsiedztwo Werdenfelsu, a miłość dawna zaczęła powoli nurtować prądami niewidzialnemi dla oka profana, niedocieczonemi dla zimnego realisty, przyciągała nawzajem tych dwoje ludzi, grożąc, iż wkrótce znajdą się, i na nowo połączą, wtedy i namiętność dzika w sercu Wilmuta rozgorzała. Nie wygasła, nie zginęła, nie pogrzebał jej! Dość było jednej iskierki, aby buchnęła płomieniem pożerającym, z zimnych (jak się łudził) popiołów!

Szczęścia jednak, które jemu nie mogło przypaść w udziale, nie dozwoli zaznać innemu! Użył po temu, bez miłosierdzia, broni obosiecznej, którą los i nieszczęsna tajemnica z owem podpaleniem wsi Werdenfels, złożyły w ręce jego. Na mocy ciążącego dotąd zarzutu na Rajmundzie, iż wieś puścił z dymem, podniecał nienawiść wieśniaków, aż do najdzikszego fanatyzmu. A dziś, gdy Rajmund padł ofiarą tej nienawiści, oddał by chętnie życie jego prześladowca, żeby znaleść się bodaj na chwilę przelotną w ordynata położeniu, żeby leżeć tak jak on, bezwładny i z czołem zakrwawionem, byle go takie ręce pielęgnowały, byle cierpieć za tak wielką nagrodę!

W godzinę później Paweł przez marszałka uwiadomiony, wybiegł na terasę zamkową właśnie na czas, aby wysadzić z powozu najprzód swoją milutką narzeczonę, a następnie Annę.

— Wiedziałem, że pani natychmiast przyjedziesz! — ucałował z czcią Anny rękę. — Uspokój się pani! Lekarz ma wszelką nadzieję.

Anna jak śmierć blada, zachwiała się pod wrażeniem tej nagłej radości. Ochłonąwszy cokolwiek szepnęła ze łzami w oczach:

— Dzięki niech będą za tę łaskę Panu nad Pany! Przewidywałam najgorsze! Czy Rajmund wie, iż...

— Niczego się nie domyśla!... Ale chodź pani.... wszystko już naprzód z lekarzem omówione.

Poprowadził dwie siostry przez długi szereg pokojów, a gdy stanęli pod drzwiami Rajmunda sypialni, z lekka zapukał, wpuścił Annę, sam zaś drzwi nazad przymykając, dyskretnie usunął się na bok z Lily.

Anna jak cień przemknęła wzdłuż pokoju, aż do łoża boleści, na którem leżał Rajmund blady i wycieńczony wielką krwi utratą, zupełnie jednak przytomny.

— Musiał cię Paweł bardzo przestraszyć — szepnął cicho, z łagodnym uśmiechem, bez najlżejszej wymówki. — Lekarz nie traci wprawdzie nadziei... ty jednak nie byłabyś tutaj z pewnością, gdybyś się nie spodziewała zastać mnię konającym.

Twarz piękna i łzami zalana, pochyliła się nad nim miłośnie, i usłyszał znowu słowa ciepłe i serdeczne, jak w pierwszych chwilach swego szczęścia nadziemskiego!

— Przebacz Rajmundzie, iż tak długo się ociągałam! Obecnie wszystko przezwyciężyłam, zapomniałam, o jednem tylko pamiętam, że ciebie nad wszystko kochałam i kocham! Czy narzeczoną sądzono mi umrzeć z tobą razem, czy żoną wierną pędzić dni i lata przy twoim boku, w życiu jak i w śmierci, jestem twoją na wieki!

XXII.

Wiosna zapachła w powietrzu Tam w dolinie, życie obudzone cieplejszym wietrzykiem i palącym słońca pocałunkiem, rwało się gwałtownie, to w trawy zdziebełkach wykukujących ciekawie z pod śniegów i lodów, to w pączkach na wierzbach i czeremszynie, to w pierwiosnku, który pierwszy nas wita i serca rozradowuje wiosny zapowiedzią.

W górach za to, zima jeszcze wszechwładnie panowała, nie chcąc ustąpić ciepłemu wiosny powiewowi i oszańcowując się przeciw tej rywalce niebezpiecznej, ustrojonej w zieleń, woniejącej fiołkami, zaporami z wałów śnieżnych i murami z brył lodowych. „Dziewica z lodu“ całą naturę tuliła dotąd w swojem zimnem objęciu, a od szczytu dął wicher północny, mrożąc w dolinie świeżą trawkę i zawczesne pączki na krzewinach.

Felseneck nie było już tak samotne i opuszczone, jak przed pół rokiem. Ordynat gościł w niem obecnie, wraz ze swoją przyszłą małżonką i jej młodszą siostrą. Anna słowa dotrzymała. Podczas długiej rekonwalescencji na krok Rajmunda nie odstąpiła, a publiczne tym razem ogłoszenie ich zaręczyn, tłumaczyło ją dostatecznie w obec świata całego.

Wieść o zaręczynach przejęła najwyższem zdumieniem tak ludność w Werdenfels, jak i całą szlachtę okoliczną. W doniesieniu położono nacisk na to, iż zaręczyny dawniej się odbyły, a tylko wypadek z koniem Rajmunda, przeszkodził uwiadomić o tym ważnym akcie szersze kółko przyjaciół i znajomych. Narzeczona miała nie tylko prawo, było nawet jej powinnością, pielęgnować chorego, wszystko zatem było w porządku!

Dzięki wpływowi Anny, zdrowie ordynata do kilku tygodni o tyle się polepszyło, iż można go było, bez niebezpieczeństwa, przewieść do Felseneck. Lekarzowi nie tajne były przykre zajścia w Werdenfels, nastawał też, aby chorego usunąć z tąd jak najrychlej, gdzie na każdym kroku może w nim co bądź obudzić przykre wspomnienia. W ciszy zupełnej swojego samotnego Felseneck, mógł o wiele łatwiej zdrowie i siły odzyskać.

Sąsiedztwo, które dotąd wierzyło święcie w bogactwo pani Hertenstein, zgorszyło się wielce, iż wdówka młoda, prześliczna i majętna, zaślubia dziwaka i odludka z Felseneck, i zapewne straconą nadal będzie dla towarzystwa. Obok tego faktu nadzwyczajnej doniosłości, zaręczyny Pawła z Lily przeszły prawie niepostrzeżenie.

Głupie i zabobonne chłopstwo w Werdenfels, znowu po prostu w czary uwierzyło, któremi siwiejący już baron potrafił przyciągnąć i przywiązać do siebie młodą, prześliczną kobietę.

Rajmund stał w oknie w swojej komnacie, która dotąd zachowała ponurą wspaniałość i swój półcień, pełen smętku. I w tej chwili w komnacie wieczór już zapadał, chociaż gór wierzchołki dotąd płonęły purpurą słońca zachodzącego.

Twarz Rajmunda zmieniła się również nie do poznania. Nie był to już ów smętny, ponury marzyciel; w rysach jego, jak na owych gór szczytach, odbijał się blask szczęścia, wracając mu niemal urok pierwszej, minionej już młodości. Cała postawa wyrażała, mimo szerokiej blizny na czole, powrót zupełny do sił i zdrowia.

A jednak coś z przeszłości zostało, coś, co zdawało się nie do pokonania. W oczach tkwił dotąd niby cień jakiś, i wzrok jego wpatrywał się ponuro jak dawniej w szczyt złowrogi Dziewicy z lodu. To jedno nie chciało ustąpić nawet przed szczęściem] i rozkwitającą na nowo miłością. Rana na czole zagoiła się i zabliźniła, a to coś w sercu tajemnicze, ten ból krwawił serce dalej i nie dał o sobie zapomnieć! Był dotąd Zaklętym, a przeszłość straszna rzucała cień złowrogi nawet na nowe życie, które miał wkrótce rozpocząć.

Drzwi lekko skrzypnęły, a po dywanie, który zaścielał posadzkę, suknia kobieca zaszeleściała. Rajmund ku drzwiom się zwrócił i w jednej chwili cień smutku zniknął z czoła, oczy zaś błysnęły szczęścia promieniem, skoro spostrzegł przed sobą piękną narzeczonę.

Anna zrzuciła żałobę. Kostium niebieski, aksamitny, puszkiem łabędzim obszyty, cudnie odbijał od jej płci liljowej, włosów o złotym połysku i oczów ciemnych, głębokich, pociągających siłą magnetyczną Postać wiotka przesunęła się przez pokój, ożywiając jego ciemność ponurą, jak gdyby szmat nieba lazurowego zstąpił z nią razem do środka komnaty, a w uśmiechu słodkim i łagodnym, którym Rajmunda powitała, rozpłynęła się owa powaga lodowata, ów wyraz energji i silnej woli, twarz jej odznaczający. W uśmiechu była tylko radość dziecinna kobiety kochającej, gdy widzi wreszcie zdrowym najukochańszego, o którego życie drżała w trwodze śmiertelnej całemi tygodniami!

— Doszły mnię właśnie wieści z mojego osieroco-go Rosenberg— przemówiła.—Nie mogą tam sobie dać rady bezemnie, a i Lily za domem stęskniona. Trzeba będzie pomyśleć o powrocie.

Słowa ostatnie wygłosiła powoli, z pewnem wahaniem, i w rzeczy samej Rajmund rzucił się z widocznem przerażeniem:

— Odjeżdżasz?! Chcesz mnie opuścić?!

— Czyż jeszcze za krótko przy tobie bawiłam? Lekarz dziś właśnie oświadczył kategorycznie, iż dalsze wizyty uważa za zbyteczne, skoroś zupełnie zdrowie odzyskał. Nie będziesz więc i mojego pielęgnowania dłużej potrzebował.

— Niezbędną jest dla mnie atoli twoja obecność! Nie potrafię już żyć bez ciebie choćby godzinę!

Młoda kobieta z uśmiechem figlarnym główką potrząsła, i stanęła w drzwiach otwartych, które na balkon prowadziły.

— Dziś po raz pierwszy wieje z gór ciepłe, wiosenne powietrze. Patrz tylko, jak szczyty płoną purpurowo, skąpane w blaskach słońca zachodzącego.

I Rajmund wszedł na balkon. W rzeczy samej, mimo spóźnionej pory, wieczór był nader łagodny, a lekki wietrzyk zaledwie poruszał zielonemi bluszczu festonami, które naokoło balkon stroiły.

Był to ten sam krajobraz, pełen majestatu i grozy ponurej; morze skał, tworzących olbrzymi amfiteatr, ciemne lasy świerkowe i lodowce wspaniałe, w słońcu połyskujące. Dziewica z lodu, rozpościerała dotąd po nad całą naturą biały całun śmierci, dotąd stał jej pałac kryształowy nietknięty, w całej swojej groźnej nieruchomości, martwy i zimny; brakowało jednak owego mroźnego powiewu, który stworzył te śniegi i lody, który uśmiercił naturę na długie miesiące i zmusił do sztywnej martwoty. Pod lodów skorupą życie pulsować zaczynało, wszędzie w okół odzywał się niby szmer dziwny, tajemniczy, przerywając gór ciszę głuchą i monotonną.

Wiosna wysłała w góry swojego herolda... po raz pierwszy zawiał wiatr południowy. Przeciągnął po dolinie, wzniósł się ku szczytom najwyższym, a pod jego dotknięciem gorącem śnieg topniał, pękały i rozpływały się napiętrzone bryły lodowe.

Potok górski odzywał się teraz nie już szmerem tajemniczym, ale głosem potężnym, hucząc i spadając gwałtownie po skał urwiskach w bezdenne otchłanie. I nie był szum jego osamotnionym, jak przed kilkoma miesiącami. Echem wiernem, choć słabszem, odpowiadały mu zewsząd mniejsze lub większe zródełka i strumyczki, sącząc się z każdej rozpadliny, z każdego skały wierzchołka z pośpiechem, jakby się nagle ze snu długiego zbudziły i pragnęły nagrodzić sobie czas stracony. Odwilż była zupełna.

Anna pierwsza przerwała milczenie, które przez chwilę zapanowało.

— Dziewica z lodu wita nas dzisiaj w szacie godowej. Wygląda jak lampa z kryształu, w której płonie silne światło elektryczne, cała w blaskach złocistych skąpana!

Rajmunda wzrok zwrócił się w kierunku wskazanym. Wpatrzył się w szczyt gorejący pozornie, z dziwnie smętną i ponurą zadumą.

— A jednak — szepnął — niema tam w górze, około tronu Dziewicy z lodu, nic prócz śniegów i wichrów, krew w żyłach mrożących. Niedostępna to królowa! Nie znosi, żeby jej kto bezkarnie w oblicze z bliska zazierał! Doświadczyłem to, gdym się niegdyś bezmyślnie... aż tam w rozpadliny, wiecznym lodem pokryte, zabłąkał.

— Czyż nie wiedziałeś, że są to miejsca dotąd ludzką stopą nietknięte? Czegoż tam szukałeś tak wysoko?

— Śmierci! — rzekł głucho.

— Rajmundzie!

— Tak najdroższa! Szukałem ją i pragnąłem gorąco, gdyż zdawało mi się istnem niepodobieństwem, nieść przez życie całe ciężar olbrzymi, którym jedna chwila nieszczęsna duszę moją przytłoczyła. W latach dwudziestu zaledwie, lżejszem mi się wydawało skończyć od razu, niż wlec dalej, niby kulę galernika do nogi przyczepioną, dolę straszliwą, pełną trosk i nędzy. Życie jednak w młodości pierwszej ma siłę niespożytą. Odszukano mnie martwego i zemdlonego, obudziłem się jednak ze snu śmierci niemal i... żyję do dzisiaj!

— I cóż to było... co cię zapędziło aż na owe szczyty niedostępne?

Usta Anny drżące i zbladłe, wyszeptały nieśmiało i wahająco to pytanie. W tym samym tonie Rajmund odpowiedział:

— Przecież raz pytasz mnie o to! Czekałem, wyglądałem tej chwili niecierpliwie, umiałaś jednak zawsze sprowadzić rozmowę na inne tory, skoro nawiązywałem ją na ten temat. Widziałem najwyraźniej, iż nie chcesz o tem słyszeć.

— Nie mogłam! Lekarz nakazał mi najsurowiej, żeby unikać z tobą wszelkich rozmów drażniących. Spokój najzupełniejszy był niezbędnym warunkiem, abyś mógł zdrowie odzyskać. Wiedziałam aż nadto dobrze, jaką burzę wywołam w sercu twojem, dotykając choćby z lekka nieszczęsnej przeszłości. Dziś atoli jesteś znowu zdrowym i silnym — przycisnęła serce dłonią, oddychając z trudnością jakby tchu złapać nie mogła — dziś zatem proszę cię o prawdę całą!

Rajmund zamilkł. Ramieniem opasał kibić ukochanej, a przyciągając ku sobie, patrzał jej w oczy z trwogą i niepokojem, czy znowu nie odtrąci go ze wstrętem, jak wtedy w leśniczówce. Anna odgadła zapewne nieme zapytanie, gdyż przytuliła się do niego pieszczotliwie, z całą ufnością i poddaniem się kobiety szczerze miłującej.

— Nie lękaj się niczego Rajmundzie! Cokolwiek bądź usłyszę, nie rozłączy mnię to z tobą! Skończyło się wszystko z chwilą, kiedy o życie twoje drżeć zaczęłam. Uczułam wtedy, iż tego jednego przeżyć bym nie zdołała... gdybym musiała ciebie utracić! Choćby w tem, co mi masz powiedzieć, była zbrodnia najczarniejsza i przekleństwo nad głową twoją zawieszone, nie opuszczę ciebie! Skoro mam dzielić z tobą przyszłość, podzielę chętnie i straszną pamięć przeszłości!

Rajmund przycisnął ją namiętnie do łona, za chwilę jednak opuścił ramiona bezwładnie i omdlewający oparł się o poręcz balkonu. Osłabienie nagłe aż nadto dowodziło, jak z nim trzeba było obchodzić się oględnie, podczas całej rekonwalescencji.

— Przebywałaś czas dłuższy za życia pani Wilmut, w domu proboszcza w Werdenfels? — zapytał uspokoiwszy się cokolwiek. — Czyś nigdy nie słyszała, żeby mnie o co pomawiano i oskarzano?

Anna głową potrząsła.

— Na ojca twojego srogość i tyraństwo, nie jedna skarga gorżka i bolesna obiła mi się o uszy, nienawiść jednak i lęk dziecinny wywoływały bajki i przypuszczenia dziwaczne, w które nikt rozsądny nie mógł uwierzyć. Z Jerzym nigdy o tem nie mówiłam. O tobie w szczególności, nawet wzmianki między nami nie było. Najczęściej wtedy podróżowałeś, a jeżeliś się od czasu do czasu w zamku na dni kilka pojawiał, wsi najstaranniej unikałeś. Ani razu cię nie widziałam. Gdyśmy się zatem spotkali w Wenecji, byłeś dla mnie obcym zupełnie, znanym zaledwie z nazwiska.

— Łatwo to pojąć! — Rajmund rzekł ponuro. — Wtedy Wilmut nie śmiał chłopstwa przeciw mnie judzić i buntować, gdyż wiedział, że z usposobieniem srogiem i niepowściągliwem ojca mojego, a bezkarnością z góry zapewnioną, z tytułu wysokiej szarży wojskowej, nie obeszło by się było bez starć krwawych, które byłyby wypadły najfatalniej dla jego parafian. Dziedzic ówczesny nie wiele się pytał o uczucia motłochu! Śmiał się z ich nienawiści, a każdą zachciankę odwetu za krzywdy doznane, deptał po prostu nogami! Ja pod tym względem byłem innym zupełnie!

Tchu mu brakło. Okiem zamglonem powiódł naokoło. Słońce zapadło tymczasem, łuna świecąca nad górami gasła powoli, i nawet szczyt Dziewicy z lodu niknął w cieniach mroku wieczornego.

— Musiałaś nieraz słyszeć o moim ojcu — zaczął Rajmund na nowo. — Była to natura dzika i nieokiełznana. Z dumą i uporem niezłomnym obstawał przy dawnych przywilejach, a nawet bronił zacięcie nadużyć z czasów feodalnych. Gdy prąd gwałtowny i postęp w usamowolnieniu stanu włościańskiego, wpłynął stanowczo na dawne stosunki, ojciec nie dał sobie wspomnieć o jakiejkolwiek zmianie lub ustępstwie najlżejszem. Wyrażał się z najwyższą pogardą o wszelkich dążnościach rewolucyjnych, obiecując święcie: „iż na swojem terrytorjum — jak się wyrażał — potrafi wybić z głowy motłochowi głupiemu, zapędy niewczesne i krnąbrność buntowniczą!“

Miałem wtedy — jak ci już wspomniałem — lat nie-

spełna dwadzieścia, i byłem dotąd, mogę śmiało powiedzieć, chłopcem bez woli i zdania własnego, dalekim od energji prawdziwego mężczyzny. Wychowywałem się w zupełnej od ojca zależności, w ślepem posłuszeństwie i poddaniu się jego rozkazom. Ojciec mnie wcale nie kochał, z powodu tak odmiennych w nas usposobień, a ja go bałem się jedynie. Tęskniłem do chwili, kiedy wyjadę z Werdenfels, aby na uniwersytecie kończyć nauki, jak więzień wygląda niecierpliwie, kiedy mu raz otworzą bramy ciężkie kaźni i pozwolą odetchnąć świeżem powietrzem! Niestety, katastrofa wyprzedziła tę chwilę o kilka miesięcy...

Wobec nieugiętości i tyraństwa ojca mojego, przyszło wkrótce do wojny otwartej między dziedzicem a chłopstwem zbałamuconem i przez tajnych agentów podjudzanem. W całej okolicy robiono wieśniakom liczne ustępstwa, rząd brał ich stanowczo w opiekę; gdy w jednem Werdenfels odmawiano im i nie chciano wglądnąć w ich żądania najsłuszniejsze, zaczęli głośno szemrać i grozić srogim odwetem. Nalegano ze wszech stron na ojca, żeby wyjechał z kraju, póki się jakoś stosunki wzajemne z włościanami nie utrą, nie uregulują, a umysły wzburzone nie opamiętają się i nie wrócą do trybu codziennego. Nie dał się uprosić, drwił w najlepsze z pogróżek, przy każdej okazji maltretując klasę roboczą w sposób tyrański i bezlitośny. Zagrozili, iż na zamek napadną; ojciec odpowiedział na to pogardliwie: „iż kilka dubeltówek, służbie rozdanych, wystarczy, aby się uporać z motłochem. Niech tylko przyjść się odważą, a taką dostaną nauczkę, że ją pewno długo popamiętają!“

Aż nadto prędko zobaczyliśmy jasno, o ile niedostatecznemi byłoby, w razie chłopstwa napadu, środki obronne, któremi ojciec mógł rozporządzać. Służba również duchem czasu zarażona, okazywała się po większej części krnąbrną i niechętną, broń była stara i zardzewiała, mury zmorszałe może by także nie wytrzymały ataku. Łatwo było przewidzieć, coby się z nami stało, gdyby chłopstwo zamiar powzięty wykonało. Nas czekała śmierć ohydna, a pod ich razami zamkowi groziło zniszczenie.

Spełniło się wreszcie, co się od dawna przygotowywało. Chłopstwo rozjuszone, pod zamkiem tłumnie zebrane, gotowało się całkiem serjo do szturmu. Uzbroili się w oskardy, młoty i topory, a najsilniejsi wlekli całe sosny, które miały im służyć do rozbijania murów i bram zamkowych. Służba z góry zapowiedziała, że do ludu strzelać nie będzie! Na to zobaczyłem jak ojciec pobladł nagle, zgrzytnął zębami w niemej wściekłości, i odszedłszy na bok dumał nad czemś głęboko, jakby plan tajemny układał. Był on odważnym do szaleństwa, gotów bronić się sam jeden przeciw tłuszczy rozbestwionej do tchu ostatniego, przerażała go jednak myśl, iż wreszcie zginie śmiercią haniebną. Nigdy jeszcze nie wystąpiłem przed ojcem z własnem zdaniem, a tem mniej z radą, której zresztą nie byłby przyjął ani usłuchał. Wobec jednak tak groźnej sytuacji, ośmieliłem się i ja słów kilka wypowiedzieć:

— Zamku długo utrzymać nie możemy, sam to ojcze przyznać musisz... na służbę również liczyć nie warto. Wszyscy nas opuszczą w stanowczej chwili, to jest niezawodnem! Dotąd wolna jest furtka w murze, do parku prowadząca. Wymkniemy się tamtędy, osłonięci gęstemi szpalerami. W najbliższym folwarku dadzą nam konie do Buchdorf. Kto zechce, może pójść z nami, reszta służby wyjdzie i tak obronną ręką, gdyż napad tyczy się li naszych osób i murów zamkowych.

— Mam więc cofać się, uciekać przed nędznym motłochem?! — krzyknął ojciec z oburzeniem. — I to mój syn rodzony śmie mi proponować podłość tak nikczemną, pomawia mię o takie tchórzostwo?!

— Gdzie jest kilkudziesięciu naprzeciw jednego, cofnięcie się w czas nie nazywa się podłą ucieczką. Byłeś ojcze nieraz w bitwie, czyż ci się nigdy nie zdarzyło, mądrą rejteradą ratować żołnierzy od pewnej zaguby?

— Rzecz inna, gdy się ma do czynienia z wojskiem regularnem, z nieprzyjacielem uczciwym! Nie pozwolę jednak, aby powiedziano, iż feldmarszałek, pan na Werdenfelsie, zmykał przed garstką chłopów pijanych, że uląkł się zgrai podobnej!

— Lepiej zatem, żeby ostatni dwaj Werdenfelsi, padli pod ciosami chłopskich toporów? Nie łudź się ojcze! Nie znałeś co to łaska i miłosierdzie, nie licz i u chłopów na litość i przebaczenie! Czy wyjdziemy z rąk ich cało, czy też damy się ubić na progu zamku naszego, siedziby praojców odwiecznej i tak nie uratujemy!

— Milcz! — ojciec tupnął z całej siły, że aż szyby w oknach zabrzękły. — Zamku nie dostaną w ręce, i ja przed motłochem z placu nie ustąpię! Nauczę ja tych zbójów! tych buntowników przeciw prawej władzy! Długo mnie popamiętają! Idź tymczasem zająć moje stanowisko! Ja... wrócę za chwilę!...

Odszedł, skinąwszy na strzelca Jędrzeja, który był mu z ciałem i z duszą oddany. Nie wiedziałem, jak sobie słowa ojca tłumaczyć, przeczucie mnię jednak ostrzegało, iż może stać się coś straszliwego! Strzelec służył niegdyś wojskowo pod moim ojcem, wierzył w niego jak w Boga, a gdy ten przeniósł się w stan spoczynku, zabrał i Jędrzeja z sobą. Był on we wszystkiem powiernikiem i ślepym wykonawcą, choćby najdzikszych i najkapryśniejszych rozkazów pana swojego; zresztą, oprócz przywiązania do swojego niegdyś pułkownika, natura brutalna, namiętna, zdolna nawet do zbrodni, skoro tak chce przełożony! Nie miałem wiele czasu zastanawiać się nad tem wszystkiem, gdyż musiałem wrócić na wały zamkowe, w zastępstwie ojca.

Ustały naraz krzyki i hałas piekielny. Tłum zdawał się nad czemś naradzać i w cichości plan nowy układając, zmieniał taktykę dotychczasową, która ich do celu upragnionego nie doprowadzała. Służący na zwiady wysłany doniósł mi wkrótce, iż gromadzą pod bramę liście i suche gałęzie, aby ogniem ją zniszczyć, skoro

nie mogą ruszyć jej z posad taranami i młotami. Było to groźniejsze jeszcze niebezpieczeństwo. Pośpieszyłem też natychmiast ojca o niem uwiadomić.

Zamknął się był z Jędrzejem w gabinecie, ale właśnie gdym nadchodził drzwi się otworzyły i usłyszałem ojca słowa ostatnie:

— Całą odpowiedzialność biorę na siebie. Teraz wymknij się przez furtkę do parku i strzeż się, żeby cię kto we wsi nie podpatrzył. Przedewszystkiem jednak spiesz się, spiesz! Zamku dłużej nad godzinę utrzymać nie zdołamy!

— Niech się jasny pan spuści na mnie! — odrzekł Jędrzej głosem przyciszonym. — A więc stodoła po za obejściem Eckfrieda.

Zwrócił się aby odejść, cofnął się jednak przerażony, mnie spostrzegłszy. Byłem przecie synem jego pana, mogłem zatem słyszeć co ojciec mu dysponował, rzucił na mnie jednak wzrokiem dziwnie podejrzliwym i niespokojnym, obejrzał się w koło, czy nie ma prócz mnie nikogo i zbiegł pędem po wschodach do ogrodu prowadzących. Za nim wyszedł i ojciec z gabinetu.

— Po coś tu przyszedł? — napadł na mnie z góry. — Dlaczegoś opuścił wyznaczone ci stanowisko?

Opowiedziałem w krótkich słowach co czynić zamierzają i że nie mogąc inaczej dostać się do zamku, myślą nas z dymem puścić. Roześmiał się w głos z zjadliwem szyderstwem.

— Doskonale! Niech tylko spróbują! Brama dębowa jakiś czas wytrzyma, a tymczasem znajdzie się rada! Bądź zupełnie spokojnym Rajmundzie! Najdalej za pół godziny cała ta zgraja buntowników rozpryśnie się jak bańka mydlana i z pod zamku ustąpi! Daję ci na to słowo honoru!

Tchu mi brakło, coś mnię nagle za gardło schwyciło i ledwie zdołałem głos z siebie wydobyć, aby spytać po cichu w trwodze śmiertelnej:

— Jakiż to rozkaz wydałeś ojciec Jędrzejowi?

Przysunął się do mnie, głos zniżył do szeptu, twarz jednak zimna, marmurowa, nie drgnęła, na włos się nie zmieniła, wyrażała tylko bezlitośne, niezłomne przedsięwzięcie.

— Cicho! ciszej! więcej nikt o tem wiedzieć nie powinien! Jeden był tylko sposób, aby nas i zamek uratować, na Jędrzeja zaś mogę liczyć jak na samego siebie! Gdy tam, we wsi, na gwałt w dzwony uderzą i płomień w górę strzeli, kto żyw poleci, aby ogień gasić. Tym sposobem zyskamy na czasie i zamek utrzymamy, póki nie nadejdzie mi wojsko na pomoc, które zarekwirowałem. Czego-żeś tak na mnie oczy wytrzeszczył, jakbyś zmysły postradał i nie mógł zrozumieć o co idzie?! Jednę lub dwie szatr na wpół zawalonych puści z dymem... i na tem koniec!

— Gdy wreszcie myślą objąłem — Rajmund blady i drżący na samo wspomnienie, otarł zimny pot z czoła — jakie nieszczęście wsi zagraża, zrazu skamieniałem jak piorunem rażony! Wkrótce jednak przytomność odzyskawszy, rzuciłem się do drzwi z pośpiechem.

— Stój! Gdzie lecisz?! — Ojciec z marsem surowym na czole drogę mi zastąpił.

— Spieszę wstrzymać Jędrzeja! Ta okropność stać się nie może! nie powinna! Odwołasz ojcze rozkaz okrutny, lub ja mu sam zakażę i do zbrodni nie dopuszczę!

— Ty?! — spojrzał na mnie z najwyższą pogardą. — Myślisz zatem, że Jędrzej ciebie by usłuchał, skoro raz ja mu coś rozkazałem?!

— Użyję więc przemocy, a jeżeli nie usłucha, będę wołał głośno na wieś całą, żeby strzegli się podpalacza!

Ojciec zbladł, chwycił mnie za ramię jakby kleszczami, gwałtem przytrzymując.

— Smarkaczu! — zgrzytnął zębami. — Chcesz im zatem wydać w ręce ojca własnego?! Ma więc raczej obrócić się w perzynę odwieczna siedziba Werdenfelsów?! Tak że ci pilno uczuć na grzbiecie pałki chłopstwa i zginąć marnie pod ich razami?! W rzeczy samej! Śmierć nader zaszczytna dla ostatniego potomka starożytnego rodu panów na Werdenfelsie!... I to wszystko dla jednej nędznej chłopskiej stodoły!

— Ależ zważ ojcze — błagałem — jakie grozi wsi całej niebezpieczeństwo! Wicher straszliwy dmie w dolinę z gór szczytów... jeżeli zarzewie dalej zaniesie, jeżeli...

— Ba! To głupie chłopstwo ma szczęście szalone! — przerwał mi — nic im się nie stanie! Zresztą... oddaję tylko pięknem za nadobne! Odwieczne prawo odwetu! Widziałeś przecie, iż ogień pod bramę zamkową podkładają! Zobaczymy co dłużej wytrzyma... wieś, czy też zamek! Zostaniesz Rajmundzie na krok od boku mojego nie odchodząc!

Rozkaz był wypowiedziany w owym tonie despotycznym, któremu byłem zwykle ślepo posłusznym, tym razem jednak rozpacz natchnęła mnie dziwną energją.

— Nie zostanę! — wykrzyknąłem. — Jeżeli ty ojcze możesz coś podobnego brać na twoje sumienie, ja nie chcę być za tak wielkie nieszczęście odpowiedzialnym! Muszę dopędzić Jędrzeja i wstrzymam rękę zbrodniczą, która niesie pożogę i zniszczenie!

Ojciec puścił moje ramię i o krok się cofnął.

— Idź więc tchórzu podły! — rzekł z taką pogardą, iż krew mi w żyłach zakipiała. — Jak to ty umiesz zręcznie w lot pochwycić i skorzystać z dobrego pretekstu, aby ulotnić się z zamku w chwili niebezpieczeństwa! Wszak od początku proponowałeś mi haniebną ucieczkę, przez furtkę ogrodową. Przedewszystkiem chcesz siebie zabezpieczyć... pomysł godny ciebie! Nie jesteś Werdenfelsem, nie byłeś nim nigdy! Idź! idź! wyrodku! oddaj chłopstwu na pastwę odwieczną siedzibę twoich antenatów, oddaj pod topór głowę ojca twojego, a sam uciekaj nikczemnie! Pamiętaj jednak, że syna, który mnie opuszcza w chwili groźnej i stanowczej, nie znam więcej i znać nie będę!

Było to więcej, niż znieść potrafiłem! W oczach ojca czytałem wyrok nieodwołalny, posądzanie mnie li o nędzne, podłe tchórzostwo! Gdybym istotnie dłoń

zbrodniarza zatrzymał, wtedy ziści się bez wątpienia ojca proroctwo, z zamku nie zostanie kamień na kamieniu, a i dziedzicowi tyrańskiemu śmierć grozi!

Myśli chaotyczne rozpierały mi mózg i serce. Nie pytaj ile wtedy przetrwałem i przecierpiałem!... była to najczarniejsza w życiu mojem godzina! Wiedziałem, iż słów kilka by wystarczyło na wsi uratowanie.... nie wymówiłem ich jednak.... zostałem... a Werdenfels nieszczęśliwe, może w godzinę później... stało całe w płomieniach!

Znowu otarł czoło zimnym potem zroszone i kończył głosem stłumionym:

— Pojmujesz teraz, iż nie mogłem powiedzieć „nie" z ręką na sumieniu, gdyś mnie pytała, czy byłem współwinnym?

— Pojmuję! — Anna głucho szepnęła.

Popatrzyła mu w oczy, zrazu jeszcze bojaźliwie i wahająco, za chwilę atoli zarzuciła mu ramiona na szyję i z czułością niewymowną główkę do jego piersi przytuliła. Zrozumiał tę niemą odpowiedź, na wyznanie przez niego uczynione i odwzajemnił jej namiętnym uściskiem.

— Wiesz z tradycji — zaczął znowu po dłuższej chwili — jak ogień srożył się przerażająco i za jak wielką cenę zamek został uratowany. Ojciec sam struchlał w obec następstw tak straszliwych, a nieprzewidzianych. Ja nie mogłem znieść widoku zgliszcz dymiących, skoczyłem na konia i popędziłem w góry, gnany rozpaczą, póki zwierzę wycieńczone nie padło podemną. Co do mnie, nie czułem zmęczenia, uciekałem coraz dalej, coraz wyżej, przed łuną złowrogą i sykiem płomieni, aż na sam szczyt prawie wiecznym śniegiem i lodem świecący, niedostępnej w swoim ponurym majestacie dla zwykłych śmiertelników „Dziewicy z lodu." Dopiero gdy ona mnie do łona zimnego przycisnęła, a w koło cisza śmierci zapanowała, i w mojej piersi ból ustał i spokój nastąpił. Znaleźli mnie zmartwiałego, bez przytomności...

— Ciężko to odchorowałeś, tak przynajmniej słyszałam...

— Bardzo ciężko, a zaledwie cokolwiek siły odzyskałem, wyjechaliśmy z Werdenfels, gdzie coraz groźniejsze pogłoski obiegały. Mieszkańcy zrozpaczeni, straciwszy całe mienie, domyślali się czegoś w tym dziwnym zbiegu wypadków, mimo iż im brakło dowodów namacalnych...

Znali ojca mojego! Zniknienie zaś moje w czasie pożaru, następnie choroba śmiertelna, na mnie zwróciły podejrzenie. „Ojciec rozkazał — na ucho sobie z cicha powtarzano — a syn posłuszny wykonał!" I w rzeczy samej, ja sam odczuwałem coś podobnego, jakbym własną dłonią wieś podpalił!

Stosunek mój z ojcem stał się niemożliwym. Widział jasno, iż nie mogę zapomnieć tego co się stało, a nawzajem moja postać wybladła, oczy głęboko zapadnięte, były dla niego wiecznym wyrzutem, widmem straszliwem przeszłości. Przyzwolił wreszcie na rozłączenie. Spędziłem najprzód lat kilka na naukach w akademji, później zacząłem podróżować, uganiając po świecie bez celu, bez zadowolenia, dopóki ciebie nie napotkałem... na to tylko, aby z sercem złamanem utracić cię wkrótce... aby widzieć gasnący szczęścia promyczek, który na chwilę rozjaśnił był ciemności zwątpienia i rozpaczy, więżące ducha mojego.

— Dla czego milczałeś? — Anna odezwała się z wymówką. — Dla czego dopuściłeś, żeby Jerzy to mi zwiastował, co powinnam była z ust twoich usłyszeć? Tak długie milczenie z twojej strony, najwięcej cię w oczach moich potępiało.

— A czy ty wiesz, co to znaczy, przejść przez życie samotnym, zbolałym i naraz schwycić szczęścia promień jaśniejszy, zobaczyć kwiat miłości na drodze swojej, dotąd li cierniami zaścielonej? Lękałem się o ten promyczek, ociągałem z wyznaniem, aby ciebie nie utracić. Daję ci jednak słowo, iż przed ślubem naszym byłbym prawdę odsłonił, byłbym wszystko szczerze, tak jak teraz czynię, tobie opowiedział. Kiedym ci się ze wszystkiego wyspowiadał... sądź mnie jak sama zechcesz!

Wzrok jego znowu po dawnemu przyćmił cień smutku i zwątpienia, te jednak dwie ciemne, głębokie źrenice, które przed nim niegdyś, wędrowcem walką strudzonym, zjawiły się i błysnęły jak gwiazdy szczęścia, jako zapowiedź innej doli, patrzały na niego teraz tak czule, z taką ufnością niezachwianą, iż i w jego serce zbolałe otucha wstąpić musiała.

— Precz z tym wzrokiem ponurym! precz ze smutkiem Rajmundzie! — przemówiła Anna pieszczotliwie, dłonią miękką po czole go musnąwszy. — Na nowo żyć zaczynasz, a żona twoja wiernie stać będzie obok ciebie... czy błogosławić, czy złorzeczyć ci świat będzie w przyszłości!

Noc zapadła tymczasem, gór szczyty zaledwie lekkiemi, szaremi konturami, rysowały się na ciemnym widnokręgu, nad „Dziewicą z lodu" atoli świeciła gwiazda wielka, promienista, niby brylant czystej wody w królewskiej koronie.

Powietrze ocieplało się z godziny na godzinę, wietrzyk muskał śniegu płaty, rozpływające się pod wiosny oddechem, nawet ze szczytów „Dziewicy z lodu", usuwały się białe, puszyste zasłony, spadały w przepaść bryły lodowe, a fale szumiące potoku unosiły to wszystko dalej i dalej, z hukiem i szumem wiosnę zwiastującym.

Zima została nakoniec zwyciężoną, natura święciła chwilę szczęśliwą zmartwychwstania, wszystko budziło się do życia po długim śnie zimowym... gdy jednak pękają ściany pałacu kryształowego „Dziewicy z lodu" a ona zstępuje w dolinę, biada wtedy, biada, wszelkiemu stworzeniu!

XXIII.

Dawne przysłowie, grozy pełne, i tym razem się sprawdziło! Nagła odwilż stała się wielce niebezpieczną i mogła sprawić w dolinie straszliwe spustoszenie.

Wiatr południowy nie darmo wiosnę zapowiadał. Przyszła niebawem z całym orszakiem burz i deszczów ulewnych, walcząc z zimą na śmierć lub życie!

Strumyki i potoki raz zrzuciwszy pęta lodowe i pierwsze zapory przełamawszy, leciały teraz zewsząd jak szalone, a rzeka je pochłaniała, tocząc fale mętne i spienione, niczem nie wstrzymane, grożące lada chwila powodzią.

Chmury czarne, ołowiane, kłębiły się po nad górami, a w dolinie zwisała mgła coraz niżej, mgła gęsta, biaława, niby brudny, szary całun pogrzebowy. Od trzech dni i nocy lał deszcz strumieniami, a co oparło się ciepłemu wiatrowi, rozpływało się gwałtownie w deszczu potokach.

Dymiły się łąki i pola parą wilgotną, lawiny raz po raz z hukiem z gór spadały, łamiąc w lasach gałęzie, a nawet całe drzewa obalając; teraz i wicher na nowo z gór dąć zaczął, mięszając swój poświst piekielny z dzikim szumem rzeki, która coraz groźniej z koryta występywała. Nad tem wszystkiem panowała z góry straszliwa „Dziewica z lodu“, a jej szczyt jaśniał z dala, spowity chmurami, zsyłając wicher, dostarczając coraz nowych źródlisk i wodospadów, ze swoich odwiecznych lodowców i przepaści niedostępnych.

Droga w górach była już nie do przebycia; nawet gościniec na cemencie murowany, który kosztem olbrzymim Rajmund kazał zrobić do zamku Felseneck, był cały wodą zalany. Zaledwie czwórka doskonała mogła uciągnąć powóz, którym Rajmund gości swoich do Rosenberg odwoził.

Anna chciała koniecznie czas krótki, który ją od ślubu z Rajmundem oddzielał, spędzić w własnym domu. Skoro wyzdrowiał zupełnie narzeczony, nic nie usprawiedliwiało jej dłuższego w domu Rajmunda przebywania. Ordynat ma się rozumieć, przenosił się również do Werdenfels, bo tylko ztamtąd mógł co dzień Annę widywać.

Miał obiedwie damy do Rosenberg odprowadzić, tymczasem, gdy w dolinę wjechali, pokazało się, iż most na gościńcu woda zupełnie podmuliła, i nie można puszczać się nim bez groźnego niebezpieczeństwa. Nic nie zostawało, jak udać się do zamku w Werdenfels, który był po tej stronie rzeki, na nic nie narażony, dzięki wałom i tamom ochronnym.

Nazajutrz po przyjeździe, całe grono zebrało się w salonie, w którym wisiał portret nieboszczyka ordynata. I Paweł tylko co był z Buchdorf nadjechał. Wicher zamiatał niemal ziemię rozmokniętą, drzew olbrzymich wierzchołkami, a grube krople deszczu, uderzały monotonnie o szyby kryształowe. I świst burzy, i łoskot deszczu lejącego jak z wiadra, był jednak zagłuszony rykiem i hukiem rzeki, szalejącej tuż pod parkiem i rozbijającej się z wściekłością o zapory granitowe, którym rady dać nie mogła.

— We wsi dzieją się rzeczy przerażające! — opowiadał właśnie Paweł, który przez sam środek wsi z Buchdorf przejeżdżał.. — Wody w rzece w oczach przybywa, a jednocześnie dochodzi do szczytu trwoga śmiertelna wieśniaków. Walczą z powodzią z energją rozpaczy, zdaje mi się jednak, iż walczą napróżno!

— Za późno uznali, iż grozi im niebezpieczeństwo — wmięszała się Anna do rozmowy. — Wczoraj jeszcze słyszałam, jadąc z Felseneck, że wieś cała może spać bezpiecznie, że to tylko zwykły przypływ wiosenny, który żadnej szkody nie wyrządzi. Noc dopiero musiała zmienić stan rzeki. Cóż ty o tem myślisz Rajmundzie?

Zapytany odwrócił zwolna głowę od okna, przez które w dal patrzał.

— Myślę, iż możemy być na najgorsze przygotowani — rzekł tonem ponurym. — Od tylu lat żyję wśród gór, a nie pamiętam wiosny tak burzliwej i tak nagłego śniegów stajania. A do tego ten istny potop od trzech dni! Jeżeli rzeka naprawdę zerwie brzegi, wieś będzie zgubioną bez ratunku!

Jakby na potwierdzenie słów jego, usłyszano głuchy, przytłumiony odgłos dzwonów... To kościół w Werdenfels odzywał się tonem grobowym, rozpaczliwym, wzywając na pomoc.

— Jak to brzmi złowrogo! — Lily trwożnie szepnęła.

I Paweł słuch wytężył. Nagle zerwał się z krzesła, do Rajmunda przystępując.

— Wprawdzie ta hołota z Werdenfels nie warta, żeby się o nią troszczyć! — przemówił — i że ty Rajmundzie, po tem, co się wydarzyło, we wsi więcej pokazać się nie możesz, to się ma rozumieć! Ja atoli nie wysiedzę na miejscu spokojnie, wiedząc, iż tam niebezpieczeństwo rośnie z każdą chwilą. Pozwól mi zaglądnąć przynajmniej, co się we wsi dzieje, o czem państwu również doniosę natychmiast.

— Idź! — odezwał się Rajmund krótko i ostro.

— Przez miłosierdzie Boże! Polciu! — krzyknęła Lily — chesz-że i ty razem z nimi utonąć?!

— Dla mnie przecie nie istnieje żadne niebezpieczeństwo! — zapewniał ją Paweł. — Sam jeden i tak bym nic nie zdziałał. Dzięki niebu, że moje Buchdorf, nie leży nad rzeką! Piękna to ozdoba, ale drogo nieraz okupiona!

Młode dziewczątko więcej przeciw temu nie protestowało, tylko uwiesiwszy się na ramieniu narzeczonego, mimo deszczu oświadczyło, iż go przynajmniej do bramy zamkowej odprowadzi.

Anna z miejsca się nie ruszyła, nie odrywając jednak ani na chwilę wzroku badawczego od Rajmunda, który znowu ku oknu się zwrócił. To było całkiem naturalne, że w zamku zostaje; na czole świeciła przecież świeża blizna, świadcząc nader wymownie o czułem przyjęciu dziedzica przez ludność wiejską, skoro spróbował pojawać się między nimi. Gdyby teraz zszedł do wsi na ratunek, powiedzieliby niezawodnie, iż on, nie kto inny, mszcząc się, nieszczęście na nich sprowadził. Mógł zatem najsumienniej zostawić niewdzięczników

ich smutnemu losowi; dla czegoż w oku młodej kobiety, była jakby cicha, nieśmiała wymówka?

— Dałby Bóg! — ciężko westchnęła — żeby niebezpieczeństwo szczęśliwie minęło. W razie przeciwnym cóż by się z wsią stało?!... z Jerzym?!

— Z proboszczem? — Rajmund spytał z ironją zjadliwą. — Ten z wysokiego piedestału swej kapłańskiej nieomylności, rozkaże parafianom, aby uchylili kornie głowy i przyjęli w skupieniu ducha dopust boży. Wieś byłaby do dzisiaj zupełnie zabezpieczoną, wie on o tem lepiej niż ktokolwiek inny, ale kapłan świątobliwy wolał spuścić się na moc cudowną swojej modlitwy!

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR CZESKI.

W dniu 20 bm. odbyło się uroczyste otwarcie narodowego teatru czeskiego w Pradze, przedstawieniem opery **Libusza**, utworu kompozytora Smetany, wśród entuzjastycznych objawów patrjotyzmu czeskiego, wśród narodowych pieśni, entuzjastycznych mów i okrzyków, wśród udziału przybywających na tęż uroczystość deputacji wszystkich niemal narodowości słowiańskich.

Uroczystość ta jest i dla nas przedmiotem osobnego rodzaju uroczystości. Wszystko, co **słowiańskie**, byle tylko szczerze i uczciwie słowiańskie, byle poświadczało swobodę i samodzielność słowiańskiego ducha i słowiańskiej myśli, byle poświadczało rozwój słowiańskiéj pracy i słowiańskiéj oświaty, byle poświadczalo emancypacją dotychczasowej uległości i pokory słowiańskiej z pod ciążącego nad nią wbrew prawu i pojęciom czasu ucisku innoplemiennego — mamy powód i obowiązek uważać za fakt własnego naszego zwycięztwa i postępu na cierniowej drodze, jaką nam ku przyszłości kroczyć dano.

Dalekim od naszych serc i myśli, wstrętnym naszym uczuciom i dążnościom niechaj będzie ów strojący się samozwańczo w maskę interesu słowiańskiego panslawizm moskiewski, co zapożyczywszy sobie dynastji od teutonizmu, sztuki rządzenia od Mongołów i od tegoż samego teutonizmu, zadaje na każdym kroku kłam swej masce i swemu samozwańczemu godłu, co konfiskuje wolność na rzecz ohydnego despotyzmu, co we własnym domu zakazuje odzywać się swobodnie najstarszemu i najbogatszą literaturą szczycącemu się językowi słowiańskiemu.

Cechą charakterystyczną **słowiańskiego** ducha i **słowiańskiego** istnienia jest swoboda i samorząd.

Moskiewski despotyzm przywłaszczywszy sobie słowiańską mowę, jest wielkim fałszerzem słowiańskiego ducha i słowiańskiej myśli. Z **nim** i dopóki **on** istnieje, zgody ani Polsce, ani Słowiańszczyźnie być nie może. Za to tem większy powód, tem natarczywsza konieczność, aby się szukały nawzajem, aby się sprzymierzały z sobą naturalnie, aby święciły krwawo i mozolnie zyskane zdobytki i pomnikowe objawy narodowego ducha i narodowej ręki wszystkie **prawdziwie** słowiańskie żywioły, pierwiastki, plemiona, narody Słowiańszczyzny, które samodzielnie dobijają się własnej przyszłości, nie ulegając ani knutowi petersburskiemu, ani komendzie świątobliwego synodu.

Za jeden z głównych, najświetniejszych takich zdobytków słowiańskiej myśli i pracy, uważamy teatr narodowy czeski. Piękne, wspaniałe dzieło mrówczej wytrwałości i świadomości, powstające jak fenix z własnych popiołów po pożodze, jaka je przed dwoma laty zupełnie zniszczyła.

Patrząc z radością, zadowoleniem, z dumą miłości własnej, bo i my przecież Słowianami, na takie dzieło słowiańskiej kultury i pracy, zapytujemy równocześnie bardzo naturalnie o moralną naukę, jaka ztąd dla nas w szczególności wypływa?

Nasamprzód nauka obowiązku wytrwałości, prawda, że tylko taki naród ginie, który chce zginąć i zwątpił o sobie.

Straszny odwet niemiecko-katolicki po bitwie pod Białą Górą postąpił sobie z narodem czeskim według rady Tarkwiniuszowej. Zrzucił głowy szlachty czeskiej, wymordował i rozpędził na cztery strony świata przewódzców narodu, pokonfiskował im dobra, palił na stosach płody i pomniki narodowej literatury czeskiej.

Pozostał narodowy tułów bez głowy, lud ciemny i biedny, któremu w jedynej i ostatniej po ojcach, po wielkiej przeszłości spuściźnie, pozostał jedynie tylko ojczysty język, nad którym jak w pierwszych dniach Genezy duch Boży nad padołem ziemskim, unosiła się długo nadpowietrznie myśl narodowa, czekając przez dwa wieki nadaremnie możności zstąpienia.

Szczęśliwa ta chwila nastąpiła za dni naszych. Ze słabych i małych początków wykrzesali nareszcie mali i skromni pracownicy z ludowego, twardego krzemienia, iskrę narodowej świadomości, która dzisiaj świeci już ogólnym, przenikającym wszystkie warstwy społeczności czeskiej, ożywczym, dobroczynnym płomieniem.

Jednem z licznych, wspaniałych pomników owej narodowej świadomości i wytrwałości jest — czeski teatr. Kto chce w ten sposób ocalić życie narodowe, kto mu chce torować drogi przyszłości, niechaj przecież wznosi swą budowę na szerokiej podstawie ludowej, a i pod tym względem mamy obowiązek nauczyć się bardzo wiele od Czechów.

Z dawnych czasów pokutują w nas jeszcze obok niewątpliwych przymiotów dawne narowy i nawyknienia naszego szlacheckiego społeczeństwa. Szlachetne porywy, ofiarność, poświęcenie, ale w wielkich i małych rzeczach nie jako usystematyzowana akcja narodowej obowiązkowości, ale jako gorączkowy wyskok mniej lub więcej szlachetnej fantazji, często zbytecznej miłości własnej i próżności. Pięknym bez wątpienia przymiotem ofiarność, ale mniej pięknym przymiotem piekąca przy niej własną pieczeń a wyczerpująca kieszeń i charakter naszego społeczeństwa **próżność**, przekreślająca zasługę, przewyższająca wartość i cenę ofiarności. I z tego smutnego narowu może nas wyleczyć żywy przykład Czechów, droga, na której przyszedł do skutku **ich** wspaniały narodowy teatr.

Nie jest on dziełem jedynie kosztownych wysiłków wyższych sfer narodowego społeczeństwa, ale płodem cierpliwej, rozłożonej na cały naród ofiarności publicznej. Stworzyły go nie gorączkowe porywy, ale usystematyzowana działalność narodowej, ogólnej świadomości.

Niechajby i u nas pisma ludowe, w spełnieniu i zrozumieniu swego obowiązku i zadania, zamiast bałamucenia ludu niepotrzebnemi i niezrozumiałemi rozprawami, zamiast uwodzenia jego wyobraźni opowiadaniem dziwactw, w które same nie wierzą — karmiły go uczciwą strawą, nauczały obowiązków narodowych, rozszerzały zakres jego wiedzy w przedmiotach potrzebnych mu do jego narodowej obrony — a jesteśmy przekonani, że niejedna z naszych najzbawienniejszych, najpożyteczniejszych instytucji nie chromałaby, jak chroma, a że nasz **lud** uczestniczyłby użyzniająco dla siebie, pomocniczo dla sprawy publicznej w wielu dziełach, które dzisiaj są tylko ciężarem tak zwanych warstw wyższych.

W ten sposób przyszedł, w ten sposób mógł tylko przyjść do skutku teatr narodowy czeski, piękne, wspaniałe dzieło naszych pobratymców, które witamy z tem szczerszym, z tem serdeczniejszym udziałem i zapałem, im z jego świeżych, błyszczących narodowemi symbolami i napisami murów, odzywa się do nas wymowniej pod wielu, bardzo wielu względami, wielce uwagi i naśladowania godna nauka moralna.

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.